Nr. 30. We Lwowie dnia 24. Lipca 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Listy Kornela Ujejskiego

do T. S.

Pawłów, d. 11. paźdz. 1883.

Kochany Panie T.

Otrzymałem kilka numerów »Przedświtu« i domyślam się, że Pan jesteś albo redaktorem albo głównym współpracownikiem tego poczciwego pisma. Równocześnie posyłam pieniądze prenumeracyjne i proszę o numera poprzednie, gdzie mógłbym znaleźć początek pańskiej powieści, która mię żywo zainteresowała. »Przedświt« i po części »Kurjer Lwowski« podnoszą głos świeży, zdrowy, wolny od serwilistycznej chrypki, na którą starsze pisma lwowskie chorują. Starą ręką a młodą duszą błogosławię Waszym usiłowaniom. Nowe siły, nowi ludzie stają do walki — donieś mi co o nich. Jak stara ale rasowa szkapa strzygę uszami, gdy poczuję jaki prąd ożywczy. Zabijał, dusił mię bezmyślny gwar politykującej nadpełtewskiej stolicy. Uciekłem w żywiczne lasy i ciszę wiejską. Natura i lud — dobra to apteka: przychodzę do sił i zdrowia. Chciej mi donieść o swojem zdrowiu i powodzeniu kochany Panie T.

Ze szczerym szacunkiem i przyjaźnią

K. Ujejski.

Pawłów, d. 12. lutego 1885.

Kochany Panie T.

Tak wierzę w przyjaźń Twoją dla mnie, że ośmielam się zadać Ci trud w mojej sprawie. A że jest w niej, i przeważnie, sprawa publiczna, do której zawsze skory jesteś — więc mi to tem łatwiej przychodzi. Piszę poemata dla ludu i resztę mego życia chcę tej pracy poświęcić. Mam skończony obszerny poemat, który zaczął się drukować w »Przyjacielu ludu« w Poznaniu. Pierwszy odcinek posyłam kochanemu Panu. Tytuł: Rok 1846! Jak widzisz rzecz to nader drażliwa dla »lojalizmu galicyjskiego« w obec rządu »sprzyjającego krajowi«. A głównie mi chodzi o to, aby ten poemat mógł rozejść się jak najliczniej u nas, między tym ludem, który krwawo naznaczył ten straszny rok 1846. — Mija już dwa tygodnie kiedy udałem się przez jednego z moich przyjaciół do redakcji pisma ludowego, wychodzącego we Lwowie »Niedziela«. Nie posyłałem manuskryptu, ale wymieniłem tytuł i treść mego poematu. Dotąd nie mam odpowiedzi, czy »Niedziela« podejmuje się umieszczać go w swoich szpaltach. Jak Panu wiadomo, »Niedziela« jest organem »Macierzy«, i zostaje pod opieką, a zapewne pod kontrolą tej instytucji. W jej dyrekcji prym wodzi nasz marszałek. Zdaje się, że tytuł poematu przeraził naszych serwilistów.

Otóż do kochanego Pana moja prośba, abyś raczył udać się do redakcji »Chaty« i »Nowin«, dwóch pism ludowych wychodzących na przemian co tygodnia we Lwowie. Mam te pisma, bo je prenumeruję dla mojej czytelni ludowej w Pawłowie. Poemat mój ma 2000 wierszy — jest więc taki, że bardzo długo ciągnąć się nie powinien. Pismo ludowe o którem mowa, wychodzi o dwóch tytułach (tak jak Strażnica i Sztandar) chociaż dostaje się do rąk jednych i tych samych prenumeratorów. Zdaje się, że nie jest dozwolonem tym dwom dwutygodniowym pismom umieszczać dłuższych artykułów, którychby ciąg znajdował się na przemian w jednem i drugiem piśmie. Ale byłaby na to rada, n. p. ta, aby umieścić dajmy na to w »Chacie« początek poematu jako Ustęp pierwszy, następnie w »Nowinach«: Ustęp drugi — i znowu w »Chacie« Ustęp trzeci — i tak naprzemian

do końca. »Chata« i »Nowiny« mają format ósemki i zawierają arkusz druku. Gdyby redakcja miała zamiar drukować w tych pismach mój poemat, musiałaby dodać pół arkusza do każdego numeru, tak aby najmniej 200 wierszy mogło być w nim umieszczonych, a cały poemat nie ciągnął się dłużej nad 9 do 10 tygodni.

Pieniędzy nie żądam, tylko odbitki — ile? potem mowa. Zdaje się bardzo mało, bo wiem że »Smoka« jak nasza inteligencja mało interesuje się moimi utworami.

Oto moja prośba do Ciebie, kochany Panie T. Nie gniewaj się, że Cię nią obarczam i wierzaj w moją szczerą i bezinteresowną przyjaźń dla Ciebie. Ściskam Cię najserdeczniej. O jak najrychlejszą odpowiedź proszę.

K. U.

* * *

Pawłów, 17. luty 1885.

Kochany Panie T.

Jako najstosowniejszą publikację dla Grzeli uważam pismo tygodniowe, w którem by około 300 wierszy mogły być umieszczone. Takie pismo dostaje się od razu do rąk kilku tysięcy u nas czytelników. (»Przyjaciel ludu« jak mi piszą, ma do 50.000 nie prenumeratorów, ale czytelników). W piśmie raz na tydzień wychodzącem można drukować dłuższą rzecz bez obawy, że czytelnik zapomni to, co przedtem czytał; 300 wierszami poezji nie obje się nasz chłop polski i strawi je należycie. To wszystko przemawia zatem, abym na jotę nie odstępował od tych warunków jakie kochanemu Panu podałem. W książce, jako ludowej publikacji, nie myślę na teraz Grzeli wydawać — chyba równocześnie z publikacją dla szerszego koła czytelników, jeżli dla tego poematu i wielu, da Bóg, następnych znajdzie się kiedy godziwy nakładca.

Więc czekać będziemy aż znajdzie się w naszej duchowej »Głodomerii« — pismo ludowe tygodniowe, które za łaskawem pośrednictwem przyjęłoby moje warunki.

Jak to czas leci! W tym miesiącu (luty) mija ćwierć wieku kiedy zacząłem pisać »Listy z pod Lwowa«. Ściskam Cię kochany T. najserdeczniej.

K. U.

* * *

Pawłów, d. 27. luty 1885.

Kochany Panie T.

Za część pamiętników Murawiewa bardzo wdzięczny jestem. Postaram się o brakujące części. Już dzisiaj gromadzę materjały do wszystkich dalszych poematów. Każda w tym względzie wskazówka jest dla mnie wielkiej wartości. Rok 1846 był tylko prologiem, był wyjściem dla Grzeli — i wolno mi było zapełnić go ekspozycją swobodną — ale w dalszych poematach, mianowicie w pierwszych czterech następnych oprę się szczegółowo na faktach niedających się zbić przez nikogo. I z tego względu zniewolonym będę sumieniem historyka i psychologa do ścisłego przewertowania dzieł wszystkich omawiających tę epokę pro i contra. Prawda tylko jest mistrzynią narodów. Wierzę w żywotność mojego, i gdzie potrzeba wykażę błędy i skazy, i fałszywe, stronnicze sądy jednych i drugich. Nie należę do żadnego stronnictwa i bezwzględnych pochwał nie wygłoszę nikomu. Tak tylko nekrologi się piszą.

Mam Ciebie kochany . . . .
. . . .
. . . . , za cicho a gorliwie i wytrwale pracujacego dla sprawy narodowej — i często do Ciebie o pomoc udawać się będę. Czem się za to odwdzięczę? nie wiem. Serdeczną wdzięcznością chyba; dedykacją jednego z dalszych poematów, bo bliższe są już w mojej myśli zajęte. Niegolewskiemu, choćby już za grób poszlę moją »Wielkopolskę«. Wiem z gazet o tym ciosie, który nas czeka. Poznałem go osobiście w Wiedniu na zjeździe polskim w r. 1877. Było to u Platera. Przyszedłem wieczorem o dobrym zmroku. Był jeden ktoś. Plater wymówił jego i moje nazwisko. Jak dwie lokomotywy skoczyliśmy do siebie. I ściskali, i ściskali, i ledwie nie popłakali. Poczem wyszliśmy na balkon, i trzymając się oburącz, przyglądaliśmy się sobie. A teraz idzie on w grób. Idzie za Tadeuszem Żulińskim — dwa anioły patrjotyzmu polskiego!

Czy domyślasz się, co mnie spotkało wczoraj? Oto nie redaktor, ale właściciel »Przyjaciela ludu«, w którym Grzela zaczął sie drukować, donosi mi, że zmuszony jest przerwać dalszą jego publikację. Dla czego? Bo szlachta Poznańskiego sarka, że buntuję lud przeciw niej! — Właściciel ma cały poemat w ręku — czołobitnie dziękował mi — a teraz spłoszył się pierwszym nieprzychylnym poematowi głosem, głosem tych co chcieliby ojczyznę pogrzebać i zasiąść potem na niej jak robactwo do uczty!! I szlachcic i szlachcianka (»pani jasna«) najidealniej są w poemacie przedstawieni. Całą grozę zbrodni jaskrawemi nałożyłem farbami — nigdzie złości, jadu — wszę-

dzie miłość i przebaczenie chrześciańskie — i ja buntuję lud!

Więc trzeba, kochany panie T., abyś zachował czucie z redakcją »Chaty« — i dowiedział się o innych pismach ludowych, »Wieniec« i »Pszczółka« — »Przyjaciel domowy« i »Gazeta wiejska«. Bo przecież ani dla sławy ani dla zarobku nie piszę, ale po to, aby było publikowane i czytane. Redaktor »Niedzieli« zgłosił się, że chciałby naprzód manuskrypt przeczytać. Posłałem mu. Ale ja nie mam nadziei, aby miał odwagę drukować G r z e l ę. Do »Gazety Polskiej« w Czerniowcach nie posyłaj na teraz żadnych fragmentów — bo jeźli wszystkie nadzieje zawiodą aby mój poemat dostał się między lud, dla którego jest przeznaczony — wydrukujemy go w »Gazecie polskiej«, jeźli na to się zgodzi.

Posyłam trzeci, t. j. ostatni odcinek »Przyjaciela ludu« — i załączam kartę do pp. Karolów M., którym na przyjaźną pamiątkę ofiarowałem odpis Grzeli — z prośbą aby Ci pozwolili odpisać dalsze jego części. U siebie nie mam już żadnego odpisu. A więc niech kto z chętnych odpisze resztę G r z e l i — i niech idzie Grzela na małe przedmieścia lwowskie — między ubogich i zapomnianych. Przychodzę do przekonania, że co na wierzchu w naszym narodzie, to piana albo szumowina — a głębiej czysty zdrój! — No, nie koniecznie czysty, bo znam lud i przez całe życie obcuję z nim — ale dający się jeszcze przefiltrować na zdrój czysty! Czy zeszyt »Przeglądu Polskiego« mogę na nieograniczony czas zatrzymać? Dla czego kochany Pan frankował łaskawą przesyłkę książki dla mnie? Przecież tego rodzaju koszta do mnie wyłącznie należeć powinne! Ściskam kochanego Pana najserdeczniej

K. Ujejski.

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy).

— Wiesz pan, dlaczego Jańcio ma taką pręgę na twarzy?

— Nie zwróciłem nawet uwagi.

— Było tak; ja mu kraję dublę z czerwonej, a on krzywi swój paskudny pysk i powiada: fuszer; kraję mu potem kwadrę z białej do środka, a on mówi: fuszer; w drugiej partji zrobiłem jednym ciągiem sto trzydzieści karamboli, a ta krowienta, posiniał ze złości i szczeka: fuszer! Wyciąłem go kijem przez pysk i wyszedłem, bo nie lubię długich awantur.

— Ślicznie, panie kochany, ale co mnie to obchodzi?

— A cóż u djabła dziedzica obchodzi?

— Mianowicie to, co grać mamy i czy grać będziemy.

— Coś zawsze grać będziemy, a tymczasem możebyśmy pocichu się wynieśli i zagrali jedną zwyczajną, o sznapsika z przekąską, co?

— Ileż panu potrzeba koniecznie? — zapytał Zakrzewski, wiedząc, jakiemi drogami zwykle dobiera się Feluś do pożyczki.

— Te, choćby rubla — odpowiedział nieśmiało, bo, chociaż stale żył pożyczkami i naciąganiem, stale się jednak wstydził tego i stale sobie przysięgał, że to po raz ostatni.

— To już mocno nudne, radźcież bo mi się spać chce! — zawołała Szalkowska i, przeciągając się ociężale i leniwie, wyciągnęła rękę po wodę, którą jej podawał mąż.

— Skończże Korczewski jeść do stu djabłów! — zawołał Kos.

— Zaraz, niechże dogryzę ostatniej skórki ze swojego futra!

Postawił garnczek pod kominem, w który natychmiast wsadził łeb Murzyn, wytarł starannie ręce, potem ukrajał kawał chleba i, łamiąc go w długich, kościstych palcach, jadł, chodził i myślał.

— Co będziemy grać? — zapytała Lili prędko, bo już się nudziła.

— Niech się pani wpierw spyta, gdzie będziemy grać i przy czem. Tak, bo nie ma co, nie ma gdzie i nie ma przy czem, tak! — mruczał Feluś ponuro.

— Będzie co, będzie gdzie i będzie przy czem! Raz... dwa... — odparła żywo Korczewska.

— Dobrze tak mówić, ale nie ma bibljoteki, nie ma teatru i nie ma dekoracji! Dalibóg nie wiem, po co rozbijaliśmy Stobińskiemu towarzystwo. Chyba, żeby teraz pozdychać z głodu! Oni grali przedwczoraj i mieli osiemdziesiąt rubli! Mielibyśmy po pół rubla na markę, jedlibyśmy i nie zastawiali ostatnich łachmanów. Jestem przecież aktorka na stanowisku, byłam w różnych biedach, ale o takiej nędzy, jaką cierpię od dwóch tygodni, nie miałam nawet pojęcia. Literalnie nie mieć co jeść, chodzić w końcu grudnia w letnim płaszczyku, nie mieć czem palić, to jest więcej, niż człowiek znieść potrafi, to jest nazbyt okropne!... — mówiła Gałkowska i rozpłakała się. Łzy jak groch sypały się na sinawą, wypudrowaną twarz i ryły w niej brózdy żółtawe. Nie po-

wstrzymywała ich, tylko płakała coraz ciężej a ciszej.

Po zebranych powiało jakieś mroźne tchnienie, strawione nędzą i tułaczką twarze powlekły się smutkiem i martwotą, a oczy bezmyślnie zatopiły się w okna, po za któremi była mroźna zima i szeroki, wielki, zimny świat; w tej chwili wszyscy odczuli całą swoją nędzę, i niejednemu zadrgał w sercu głuchy, wściekły, bo bezsilny ból i żal do świata i do ludzi. Lili miała pełne łez oczy; tak ją wzruszył płacz Gałkowskiej, że, chociaż się gniewały z sobą, podeszła do niej pierwsza i zaczęła coś cicho mówić i ściskać jej ręce, co tak rozrzewniło aktorkę, że chwyciła dziewczynę w ramiona i serdecznie całowała.

Szalkowska tylko siedziała nieruchomo; jej piękna, marmurowa twarz ani drgnęła, a w oczach nie zatlił się najsłabszy promień współczucia; ziewnęła i rzekła:

— Gracie melodramat, a to już nudne. Todziu!

— Dla pani nudne, bo pani masz pieniądze, ale my sobą nie handlujemy! — zakrzyczał chrapliwie Kos, który nie mógł jej darować odmówienia pożyczki

— Tak, nędza była, jest i będzie! Tak, Szalkowska ma swoich kochanków, Gałkowska swoją zrudziałą perukę, Korczewska swojego Murzyna, Lili matkę i dziedzica, Murzyn swój łańcuch, Kos swoich bębenków, Jancio siostrę. Każdy kij swojego pana, każde cielę swojego rzeźnika — tylko ja jestem biedną sierotą. Tak utop się, synku, kiedyś zgłodniały, tak! Teraz twoja kolej, Messalino — zakończył Felu drwiąco do Szalkowskiej, splunął na pokój, pociągnął się za nos, otulił w almawiwę i zamilkł.

— Masz podobno jakąś propozycję od Grabca? — zapytał Kos.

— Mam, chce nas angażować za.. miesiąc od połowy stycznia.

— Grał na fujarce! Czekaj tatka latka aż kobyłę wilcy zjedzą! Przez miesiąc to zjemy się do podeszew! A niech to siarczyste drzwi ścisną!

— Nie ma też innej rady, tylko sztukę jaką wybrać i grajmy.

— Zakrzewski ma teraz, jak i zawsze zupełną rację, ale czemu się pan nie powiesił co? tak, czemu?

— No więc grajmy. Zagramy, będziemy mieli pieniądze i wyniesiemy się z tego partykularza!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Krytyka powieściowa i stowarzyszenia do czytania powieści

w Anglji.

Szczycimy się bujnym rozkwitem polskiej powieści. Rzeczywiście na niwie naszego piśmiennictwa zakwitły i rozpleniły się najwięcej poezja i powieść. Wiele mówiono o wpływie poezji na ukształtowanie umysłu i serca, nawet momenta dziejowe, jak np. powstania, tłumaczono rozwielmożnieniem się poezji i jej wpływem na młode dusze. Pozytywizm warszawski, prąd burżuazyjnej czci kapitalizmu i hołdowania mamonie, hasła t. z. pracy organicznej, polegającej na czynieniu dobrze w kółku swojem, gdyż całość sama się złoży, a streszczające się na zajmywaniu dobrych stanowisk i wzmożeniu produkcji, ostudziły zamiłowanie do poezji, choć nie zeszła ona z piedestalu, a dziś w innych wprawdzie, nowszych formach poetyckich dźwięczy ta sama nuta wołająca wciąż: „wyżej serca, wyżej głowy, naprzód, na wyżyny! excelsior!“

Znacznie mniej pisano i mówiono o powieści, aczkolwiek to jej zbytnie rozwielmożnienie niejednokrotnie wywoływało zimny uśmiech na licach szyderców. Wprawdzie powieść poszła na usługi rodzącego się kapitalizmu, apoteozując młodych doktorów, prawników, inżynjerów, którzy istotnie w szlacheckiem społeczeństwie byli przewodnikami postępu (bynajmniej jednak nie świadomie), ale taż sama powieść następnie odźwierciedliła bagno moralne karjerowiczowskiej spółki, całą próżnię duchową młodych rycerzy rubla czy guldena. I oto w naszem biednem społeczeństwie, które bardziej, niż inne musi się karmić chlebem ideału, bo w smutnych warunkach walczy o chleb powszedni, które podąża myślą i sercem ku prawdzie i dobru, bo życie istotnie dlań jest ciężkiem, — powieść staje się prawdziwą krynicą wody żywiącej; szarpany bólem wza-

jemnych sprzeczności i zwątpień rozdzierających mu pierś, młody inteligent, znudzony powszedniością życia codziennego znajduje w powieści wytchnienie i moralną podnietę; cały zastęp leniwych umysłów, a serc tkliwych, rozmaici t. zw. „młodzi ludzie“ i „młode panny“ czerpią z powieści swą filozofję życiową, zasób pojęć szerszych i głębszych niż te, które się z ust ludzi otaczających słyszeć wydarzy. Młode ogniste dusze, pełne wiary i naiwności ofiary systemu szkolnego — młodzież szkolna — jeżeli ich zasępione czoła i znużone oblicza rozjaśniają czasem błyskawice myśli i szczęścia, jeśli z nieuchwytnych marzeń przechodzą do życia i czynów, zawdzięczają to poezji i powieści. Wam, mistrze słowa, co przemawiacie do nas wiązaną i niewiązaną mową, wdzięczność nasza; wyście to, wywołując łunę na bladej twarzy młodzieńczej, położyli swe niestarte znamię na jego obliczu duchowem, wyście dopomogli mu upoić swą duszę i zmysły widokiem natury, świata i ludzi innych niż ci, których się widzi codziennie.

Powieść uczy nas patrzeć na życie ze stanowiska obserwatora, „widza bezstronnego“, uczy myśleć, czuć, przeżywać uczucia innego człowieka, wchodzić w położenie innych ludzi, wprowadza nas do pełnego tajemnic świata życia wewnętrznego, życia duszy, jednocześnie otwiera najszersze horyzonty na świat zewnętrzny. W jednej z powieści Żeromskiego, stary żołnierz armji rewolucji francuskiej, Pulut, opiekując się młodym wojakiem, oznajamia go ze światem, ludźmi i życiem:

„Europa — powiada Żeromski — pozwoliła mu kształcić się systematycznie. Udzielił mu wszystkiego co wiedział o Bogu, o istotach żyjących i o świecie. I naiwna dusza jednego otworzyła pączki i rozkwitała pod podmuchem drugiej.

Któż z nas nie zaznał kiedykolwiek podobnego uczucia budzenia się, duchowego rośnięcia pod wpływem bezpośrednim duszy innej, ukształconej, wyższej? A ci co nie znali dusz wyższych, lepszych — obeznali z niemi drogą inną: przez czytanie. Ciężkie warunki życiowe, mały poziom wykształcenia z wielu środków umożebnia tylko korzystanie z jednego: czytania powieści. I prosty człowiek czyta, pożera, cierpi, czuje, zachwyca się, płacze, unosi się, ale, co najważniejsza — rośnie. Tym rosnącym człowiekiem jest chłop. Widziałem chłopów czytających Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową. Śmieli się, płakali, drżeli, ale co najważniejsza, uczyli się czuć, wzrok ich ogarniał dalsze widnokręgi, podnosiła się skala ich czucia, umysłowego i moralnego rozwoju — słowem r o ś l i!

Jakież zadanie krytyki wobec tego olbrzymiego czytelnictwa, ogarniającego powoli jak powódź, cały naród! Ci, co czytają, jak olbrzymi starożytni wciąż łakną i kto zaczął, nie może już ukoić łaknącej gorączki. Niedospane noce, wczesne zrywanie się do świtu, wolne od pracy przystanki — wszystko to pochłania czytanie. Uczeń klasy piątej, w którym się rozbudziła chęć do czytania, czyta w nocy, dopóki lampa nie zagaśnie, czyta nad rankiem, czyta w czasie pauz w szkole, czyta, co gorsza, w czasie lekcji, ukrywając twarz w dłonie, a książkę trzymając na kolanach. Wybaczcie mu tę gorączkę — chodzi tu o jego rozwój. To młoda dusza, łaknąca rosy ożywczej. Dajcie mu zajmującą książkę, bo uschnie z pragnienia i zamrze. Widziałem mularskiego wyrobnika, który czytał noce i chwile dnia wolne od roboty. Drżał ze wzruszenia. Powieść, los jej bohaterów, budzi w nas żal, trwogę, niepokój, zainteresowanie, nowe dreszcze. Długo się człowiek nie może uspokoić po przeżytem wzruszeniu i chciałby je utrwalić, umocnić. Tu czas i miejsce dla wystąpienia krytyka i jeśli nikt nie pomoże przetrawić powieści — olbrzymie wrażenie i emocje, mogące się stać źródłem nie tylko silnych wrażeń, ale i pięknych czynów, a więc szczęście należy uważać w znacznej części za rzecz strwonioną! Od lat 18 czytam powieści. Przeżyłem ogromną moc wzruszeń i wrażeń. Powoli w mym umyśle jęła się tworzyć jakaś klasyfikacja przeczytanych utworów i ludzi w nich występujących. Zawsze stawałem po stronie jednych i życząc im zwycięstwa gorąco pragnąłem upokorzenia drugich.

Powoli w mym umyśle wytworzyło się pojęcie: „my i oni“. Ci, co cierpią i ci, co krzywdzą. Dwa światy. Gromadząc przymioty, które mi się podobały około ulubionych postaci, tworzyłem sobie ideały. Nauka późniejsza i praca dopomogły mi następnie do jaśniejszego sformułowania poglądu na świat, które utworzyłem wpierw dzięki uczuciu, a powieść dostarczała mi wzruszeń i wrażeń najwięcej. Ale z własnego doświadczenia powiem, że zagrażało mi poważne niebezpieczeństwo. Bardzo łatwo dać się unieść uczuciu, rozmarzyć, puścić wodze fantazji, żyć w świecie oderwanym. Są ludzie, którzy w 4 ścianach pokoju odczuwają cierpienia i niedolę społeczną, a nazewnątrz w życiu są oschłymi egoistami. Zatracili poczucie związku pomiędzy rzeczywistością, a abstrakcją. Krytyka zespala dwa światy, buduje most łączący świat rzeczywisty z światem wyobraźni, z światem ideału.

Każdy człowiek po przeczytaniu powieści, radby pomówić o ludziach, których poznał w książce, powróżyć o ich dalszych losach, poddać analizie ich postępki i myśli, rozważyć, jakby sam w danych warunkach postąpił. Jeśli powieść jest historyczną lub społeczną domaga się wyjaśnień i krytyk na tle historycznem odmalowanem przez powieściopisarza, snuje swą opowieść, rzucającą na epokę minioną jasne światło, albo też wyjaśnia potrąconą kwestję ze stanowiska naukowego. Nasza krytyka, na wzór francuski, nie wystarcza. Zajmuje się kwestją budowy utworu, jako dzieła sztuki. To mało. Chmie-

lowskiego lud czytać nie będzie. Tymczasem młodzież polska w szkołach rosyjskich, chętnie czytuje pisma takiego Pisarewa, który roztrząsa powieści ze stanowiska życia codziennego, a nie teorji estetycznej.

Również nie mamy krytyków, którzyby nam wyjaśnili, jak to ludzie czytają? Jak n. p. nasz lud czyta Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową. Co czuje i myśli człowiek prosty, jak się zmienia pod wpływem arcydzieł. Jedyną, rzecz którą w tym rodzaju czytałem, jest artykulik M. Wysłouchowej w „Upominku“ dla Orzeszkowej. W artykule swym, ułożonym na podstawie listów chłopskich, szan. autorka pokazuje nam jakie obrazy i pojęcia w umyśle chłopów wywołuje czarodziejka naszej literatury.

Szkoda, że nie mamy więcej podobnych artykułów. Nadzwyczaj pożyteczną przy czytaniu powieści — może stać się dyskusja. Wymaga ona jednego tylko — umiejętnego kierownictwa. Dziś, gdy poruszono u nas sprawę uniwersytetu ludowego, nie od rzeczy jest poruszyć także kwestję krytyki powieściowej i rozpowszechnionych w Anglji „klubów do czytania powieści“, które są dalszym rozwojem i zastosowaniem myśli o potrzebie krytykowania i głębszego zastanawiania się nad powieściowymi utworami.

Sądzę więc, że czytelnicy „Tygodnia“ przejrzą z zajęciem artykulik, który im podaję w przekładzie, o instytucjach tego typu w Anglji.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szkice i obrazy z nad morza Żółtego.

(Dokończenie.)

Zdarza się wszakże, że wekslarz pada ofiarą własnego oszustwa lub go mongoł wyprowadza w pole. Misjonarz Huc opowiadał, jako razu pewnego mongoł przyszedł do wekslarza ze swojem »Juen-pao«, starannie opakowanem i obwiązanem taśmami. »Juen pao« zowie się sztaba srebra, wagi trzech funtów. W Chinach funt wynosi 16 uncji; sztuka trzyfuntowa nie zawsze jednak zawiera wagę dokładną i najczęściej zdarza sie nadwyżka czterech lub pięciu uncji tak, że sztaby sięgają wagi 52 uncji.

Zaledwo mongoł pokazał swoje »juen-pao«, już przez głowę subjekta handlowego przeszła myśl oszukania go. Zważywszy sztabę, deklaruje jej wagę na 50 uncji.

— Moja sztaba posiada 52 uncji — mówi mongoł — sam ją ważyłem u siebie.

— Wasze wagi mongolskie — odpowiada kupczyk — dobre są do ważenia w razie najlepszym ćwiartek baraniny, ale na nic się nie zdadzą do ważenia srebra.

Po sprzeczkach z jednej i drugiej strony, ubito targ i »juen-pao« oddany za 50 uncji. Mongoł podług zwyczaju wekslarskiego otrzymał certyfikat, poświadczający wagę i wartość srebra, poczem powrócił do swego namiotu z odpowiednim zapasem sapeków i banknotów.

Wieczorem kasjer domu bankowego żąda rachunku z operacji, dokonanych w ciągu dnia.

— Kupiłem — powiada jeden z subjektów — »juen pao«, na którym zyskałem dwie uncje nadwyżki — i pobiegł do składu po pakiet.

Szef domu bankowego, przewróciwszy kilkakrotnie w ręku sztabę, skrzywił się:

— Cóż to za »juen-pao« kupiłeś? ten metal może być czem zechcesz, ale nigdy srebrem.

»Juen-pao« przechodzi z rąk do rąk i wszyscy w sklepie zgadzają się na to, że srebro jest fałszywe.

— Znam mongoła, który mi sprzedał ten »juen-pao« i nie ma rady, tylko trzeba go zaskarżyć do trybunału.

Jakoż skargę wniesiono i policjantów wysłano do schwytania fałszerza.

Sprawa była gardłowa, wyrok śmierci wisiał w powietrzu, bo trybunały chińskie w takich razach nie żartują. Sztabę zaczęto badać dokładnie i okazała się istotnie fałszywą. Wszystkim również było wiadomo, że nikt inny jeno ów mongoł sprzedał ją. Ale ten z efronterją zaprzeczał, iż nie jest winien zarzucanej mu zbrodni.

— Przynajmniej — prosił pokornie — niech mi będzie pozwolone słówko we własnej obronie.

— Mów — rzekł mandaryn — ale uważaj, abyś mówił tylko słowa zgodne z prawdą.

— To prawda, że w tych dniach sprzedałem »juen pao« w domu wekslowym, ale moje srebro było czyste i prawdziwe. Jestem mongołem, człowiekiem prostym i nieobrotnym; z tego skorzystano w sklepie i po moim wyjeździe podstawiono sztabę fałszywą zamiast prawdziwej, którą ja dałem. Nie potrafię dużo ładnych słów mówić, ale proszę tego, który jest mi ojcem i matką (t. j. cesarza a w zastępstwie jego — mandaryna), aby rozkazał zważyć ten fałszywy »juen-pao«.

Wydano zgodny z prośbą rozkaz i okazało się, że »juen-pao« ma wagi 52 uncji...

Wówczas mongoł, sięgnąwszy ręką w cholewy, wydobył ztamtąd mały pakiecik, zawinięty w gałganki. Po rozwiązaniu okazał się zwitek papieru, który pokazał zdaleka mandarynowi.

— Oto jest — rzekł — pokwitowanie z domu bankowego, poświadczające wartość i wagę mojego »juen-pao«.

— Podać mi ten świstek — zawołał mandaryn. — Przeczytawszy go, odezwał się z uśmiechem złośliwym:

— Podług zaświadczenia subjekta, który pisał certyfikat, ten człowiek mongolski sprzedał »juen-pao«, ważący 50 uncji..., ta zaś sztuka srebra fałszywego ma wagi 52 uncji... Gdzie prawda? Gdzie są fałszerze?...

Odpowiedź na to pytanie nie była trudną dla nikogo; każdy, nie wyłączając mandaryna, był w zupełności przeświadczony o tem, że mongoł istotnie sprzedał fałszywy »juen-pao« i że różnica na wadze pochodziła z oszustwa subjekta. Ale sędzia chiński, zapragnął być legalnym i wbrew przeświadczeniu wydał wyrok uniewinniający mongoła, natomiast bankierzy domu wekslowego zostali oćwiczeni rózgami i byliby zostali na śmierć skazani jako fałszerze monet, gdyby sowitemi kubanami nie uśmierzyli gniewu mandaryna i nie złagodzili surowości praw.

* * *

Zdobycze terytorjalne państw europejskich w Azji, Afryce itd., krom chwilowych względów taktyki politycznej, mają na celu w bliższej przyszłości otwarcie nowych rynków konsumcyjnych dla produkcji zdobywców, albo, w dalszej przyszłości, zapewnienie miejsca odpływu dla nadmiaru wciąż wzrastającej ludności kraju rodzimego tychże zdobywców. Że Rosja w Mongolii i Mandżurji w razie ich zaanektowania cel powyższy osiągnie, to rzecz zrozumiała, jeśli się uwzględni łączność lądową tych krajów z Rosją, ubogą ich produkcję i wielkość obszarów, mogących stokrotnie zmieścić więcej ludności niż one obecnie jej posiadają. Natomiast Chiny właściwe wykazują produkcję bez żadnego porównania bogatszą i tańszą od europejskiej, a w obec ich siły produkcyjnej europejska jest dziecięcą. Jeśli Chińczyk dziś nie kupuje wyrobów europejskich, bo ma swoje lepsze i tańsze, czy będzie je kupował gdy wzmoże swą produkcję maszynami europejskiemi?

Przy przeludnieniu tak wielkiem w Chinach, wobec którego Belgja wydaje się być krajem pustym, nie ma najmniejszej nadziei dla stworzenia na tamtejszych terytorjach rezerwy dla przeludnienia europejskiego, chyba, że się wpierw wytępi ludność miejscową za pomocą opium, ale do tego czasu rasa żółta ocknąwszy się, może wytoczyć białej straszną walkę o byt. Prawda, że obszary, na które teraz prócz Rosji reflektują Niemcy, Francja, etc. są mniej zaludnione, ale korzyści ekonomiczne z ich możliwej eksploatacji na przyszłość w żadnym nie zostają stosunku z kosztami ich utrzymania: afrykańskie terytorja prawie bez porównania taniej kosztują. Rozbiór więc kolosalnych Chin przez europejczyków jest dla trzeźwych umysłów fikcją, a zajęcie obecne niektórych jej punktów, może mieć tylko wartość polityczną, którą grubo opłaci mniej zręczna i przewidująca strona.

Jan Grzego.

(2)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Bądź co bądź, szczęście, podobnie jak nieszczęście, nie jest żadną tajemnicą. I tak, niejaki pan Kacper, szafarz na dworze morzelańskim, taki zawołany strzelec, a do zająca spudłował. Dlaczego? Pijał za młodu gorzałkę, wino, miód, porter, likiery i na starość ręce mu się trząść zaczęły. Szczęśliwy zając, który był pod lufą właśnie w chwili, kiedy szafarzowi ręka drgnęła! Tetera, szlachcic zagonowy, znany kłusownik, oko tuza potrafi wystrzelić z karty; ale ma on piekło rodzinne w domu i gdy sobie zakłóci równowagę duchową, żaden strzał mu się nie uda. Szczęście zająca! Węglicki, charciarz zapalony, dostał z Morzelan smycz chartów wybornych; jednakże młode psy w złych rękach zależały pole i choć dopędzą zajęca, wziąć go nie umieją. Burek, pies księży, mieszaniec ogara i charta, ma węch znakomity, nogi doskonałe i pysk chwytny; pies ten jednak nie może korzystać z zalet swoich, gdyż mu u szyi zawieszono klocek z drzewa, aby nocami nie odbiegał od domu. Jest także w kniei morzelańskiej lis szczwany. Kita, który chodzi i pełza tak cicho, że już lepiej nie można; kiedy jednak trafi przypadkiem na suchą gałązkę, na liść zeschły, spłoszy szelestem zająca.

Otóż, dobre i złe przypadki chodzą po ludziach i zwierzętach; ale mają one zawsze jakieś przyczyny zewnątrz. Życie zająca obraca się nieustannie około dwóch czynności; dobrze uciekać i tak się ukrywać, aby nie znaleźli tam, gdzie mają nadzieję znaleźć. Po skończonej zawziętej pogoni przyjemnie jest odetchnąć. „Żyję, uciekłem!“ Daleko przyjemniej jest jednak być nie-

widzialnym: chodzą w około, opatrują a nie widzą. Jakże bezpieczną jest na czas jakiś kotlina, którą właśnie co tylko opuścili prześladowcy: prawdopodobnie nie wrócą tutaj powtórnie dzisiaj! Z godziny na godzinę, z dnia na dzień się żyje: byle przeżyć jakiś szmat życia.

Urodził się w gaiku olszynowym o jakich tysiąc kroków od stawu. Było to w czasie roztopów wiosennych, w drugiej połowie marca i zaraz jakoś po południu. Rok ten odznaczał się nieurodzajem płodów polnych, a obfitością żab, myszy, kretów, chrabąszczów. Matka zajęcza złożyła dwoje noworodków pod pniakiem na zimnym i wilgotnym mchu i już w godzinę po połogu opuściła drżące od zimna dzieci! Dziwnie wyglądał ten świat Boży, chłodny, mokry, z ołowianem niebem. W sam raz po odejściu rodzicielki, śnieg zwalił i nakrył białym kożuchem parę maleńkich szaraków, wpatrujących się w świat wyłupionemi oczyma.

Matka zajęcza najobojętniejsza ze wszystkich matek, zjawiła się przed wieczorem, podała pierś bliźniętom, nakarmiła je, potem poszła w chrósty ogryzać pąki wikliny, wyjadać z pod śniegu szczypiory młodziutkiej trawy. Przez pięć dni brodziła po łąkach w bliskości dziatek, a kiedy niekiedy przybywała, ażeby pokarmić syna i córkę. Młodziutkim zajączkom życie już teraz wydawało się bardzo długiem, zwłaszcza, gdy matka, uciekając za najmniejszym szelestem, wpajała w dziecięce serca nauki strachu.

Zaświeciło jaśniej słońce, od jego ciepła zaszumiały wody roztopów i matka puściła się na jakąś dalszą wędrówkę. Małe poczęły łazić, podlewane wodą, gramoliły się od kępki do kępki, używały nieustannie zimnej kąpieli: pierwsza woda w uszach.

Przyleciały i bociany; jak się pokazało, przyleciały zawcześnie, a jeden z nich, bardzo wygłodzony, odbywał nieustanne poszukiwania na łąkach. Spotkał on skuloną w troje zajączkę-niemowlę i wziął ją widać za stworzenie zbliżone do żaby, gdyż ugodził potężnie dziobem między słuchy. Biedactwo, odurzona tym ciosem, porywała się, podskakiwała jak żaba, a bocianisko krok w krok szedł za nią na swych szczudłach i kuć w głowę nie przestawał. Spadła na wznak w kałużę, merdała nóżkami, kwiliła nadzwyczajnie żałośnie. Widział to wszystko z oddalenia brat, gaszek, czuł w sobie strach ogromny i tem lepiej przycupnął: tak się w łąkę wtulił, że go znać nie było. Dopiero na krzyk dziecka przybiegła matka i z miną tak groźną, na jaką stać zająca, skoczyła bocianowi do oczu, dała mu w brzuch szturchańca. Ale sama postawa, choćby najgniewniejsza, nie zapewnia powodzenia w walce, a gwałtowność ruchów oznacza częstokroć rozpacz ostatnią. Bocian ze spokojem przyjął tę napaść, wziął w dziób, jak w kleszcze, zajączkę za słuchy i nieco dalej odleciał, aby spokojnie spożyć owoc poszukiwań. Marne jest życie zająca.

Pozostał jedynak na świecie, a że nie zginął i on, pod dobrą gwiazdą się widać urodził. Rozpoczął działać na własną rękę, stawiać pierwsze kroki w życiu, a tu zimno, deszcze, śniegi, przymrozki. Znalazł raz na drodze życia jeża, który — cały w liściach, w sianie — właśnie opuścił zimowe leże i na widok zająca zwinął się w kulę. Nasz mały myślał, że to co do jedzenia, i do krwi zadrasnął się kolcami w nos, wargi. Trzeba się i tego nauczyć, że jeż nie jest jadalny — „gaga!“

Natura, zwana matką dobrą, dała mu na życie dwa główne oręże: strach i nogi. Człowiek nie dalekoby z tem zaszedł. Więc zając bał się wszystkiego, uciekał nieustannie. Jego rozwój umysłowy polegał na rozwinięciu się strachu, najważniejszej władzy duchowej zająca, a nie tak złej, jak się na pozór wydaje. Wystąpił do walki z prześladowcami, przeciwstawiając strach zuchwalstwu i srogości, wiatronogie skoki zębom, pazurom, nogom. I poszła walka zawzięta, nie znająca zawieszenia broni. Dzielny przez strach, ucieczkę, musiał sprostać wilkom, lisom, psom, człowiekowi — być bohaterem w swoim rodzaju, jeśli się tak wolno wyrażać o zwierzęciu. Talent osobnika, rycerza spraw gatunku miał tu pierwszorzędne znaczenie. Niebezpieczeństwa życiowe zewsząd otaczały zająca, ale ich stopień nie zawsze był jednakowy. Strach w połączeniu z głodem doprowadzał go nieraz do ostateczności i z takich dwóch czynników powstała energja rozpaczy, która wiodła do ocalenia. Zwierzę, oskoczone przez groźne niebezpieczeństwa, ma do wyboru „albo, albo“. Śmierci nie wybierał nigdy, ocalał i wtedy, kiedy bywało „raz kozie śmierć, wóz albo przewóz“. Tonący chwytał się brzytwy, wypływał, przeto podtrzymywał na świecie sztandar dzielności, złożył niezbity dowód, że nie sama tylko siła zwycięża.

Toż on miał przeciw sobie ludzi i musiał walczyć z różnemi ich wynalazkami. A cóż znaczy zwierzę dzikie, roślinożercze w obec tak możnego pana, który opływa w dostatki, a do szczęścia jeszcze mu potrzeba mięsa zajęczego?

Oprócz człowieka, godziły nań zawzięcie zwierzęta, uosabiające chytrość, srogość, natarczywe i obdarzone straszliwym orężem, nadzwyczajną, jak na zająca, siłą. Żyjże tu, wyżyj!

Doprawdy, godzien podziwu jest szarak, gdy się wytrwale temu wszystkiemu opiera — „mężne czoło tylu wrogom stawia“. On, biedny, skazany na ciągłe tułactwo, na samotność z powodu cudzej chciwości; on, który żyje słomą, sianem, korzonkami, najwyżej — kapustą... I taki nigdy się jednak nie poddał, nie został zwierzęciem domowem! Żył w strachu i strachem walczył o prawa życia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana).